

Dzień dobry, nadziejo

"Powołanie to najwspanialsza rzecz, która się nam przydarzyła, i jeśli Cayetano byłby w lepszym stanie, też by to powiedział". Pilar Fernández-Loza z Asturias (Hiszpania) od 10 lat opiekuje się chorym na Alzheimera mężem. Od prawie 40 lat jest supernumerarią Opus Dei.

13-11-2006

Niedawno świętowaliśmy naszą 50. rocznicę ślubu. Pobraliśmy się 12

października 1956 w Covadonga.
Obchody rocznicy były dosyć
szczególne. Kiedyś myśleliśmy, że w
podeszłym wieku będziemy mieli
typowe dolegliwości, jak
nadciśnienie... Teraz, kiedy się budzę
i myślę o chorobie męża, ogrania
mnie klimat piosenki Edith Piaf:
Dzień dobry, smutku. Ale od razu się
poprawiam i proszę Boga o pomoc,
aby utożsamiać się z Jego wolą.
Mówię wtedy: Dzień dobry, nadziejo.

Cayetano jest chory od 10 lat.
Pierwszy raz jego choroba dała się
we znaki, kiedy wracając z Bilbao
samochodem, zgubił się dwa razy,
choć znał tę drogę jak własną
kieszeń. Od tej chwili zaczął często
się gubić i często zapominał różnych
rzeczy. Na przykład kupował gazetę i
zapominał jej nawet otworzyć...
Kiedy nie dał rady wypełnić zeznania
podatkowego, powiedział: "Idziemy
do lekarza". Tam odpowiedź
brzmiała: "Alzheimer".

Oparcie w powołaniu

Teraz mój mąż jest dalej przy mnie, ale... jakby go już nie było. Staram się okazać mu nieustannie moją miłość, choć on nie umie już okazać swojej. Dzięki Bogu nasze małżeństwo było bardzo udane, choć nie brakowało też smutnych chwil. Jeden z naszych synów zmarł w wieku 19 lat. Zawsze jednak odnajdywaliśmy pociechę i oparcie w wierze. Doświadczyliśmy też łaski powołania. Jesteśmy supernumariuszami w Opus Dei od końca lat 70-tych.

Cayetano zdecydował się pierwszy. Czasem jeździł na rekolekcje, a ja zostawałam w domu sama. Myślałam: "To dobre dla niego; a jeśli to dobre dla niego, to też dobre i dla mnie". Potem, kiedy ja wstąpiłam do Opus Dei, on też nigdy nie sprzeciwiał się moim zajęciom formacyjnym. Wręcz przeciwnie,

zawsze pomagał mi w moim powołaniu...

Powołanie to najwspanialsza rzecz, która się nam przydarzyła, i jeśli Cayetano byłby w lepszym stanie, też by to powiedział. Teraz odczuwam to jeszcze bardziej: ludzie z naszego otoczenia przychodzą, pomagają mi, dodają mi otuchy. Pewnego dnia, na rocznicę naszego ślubu, przynieśli mi bukiet kwiatów i rozpłakałam się. "Pilar, czemu płaczesz?" - spytała mnie znajoma. Płakałam, widząc delikatność i miłość, którą jestem otoczona w Opus Dei.

Należę do Stowarzyszenia Rodzin z Chorymi na Alzheimerera. Staramy się sobie pomóc wzajemnie, bo nasza sytuacja jest trudna i nie do pozazdroszczenia. W Stowarzyszeniu uczą nas, pomagają, otaczają ciepłem i ustalają cele. Mamy też do dyspozycji pomoc psychologa. Bo ta choroba zwykle izoluje ludzi,

przyjaciele przestają cię odwiedzać tak często, także jest to rodzaj naszej wspólnej obrony.

Chrześcijańska konsekwencja

Kiedy wracam myślą do początków małżeństwa, cieszę się bardzo, że przeżyliśmy po chrześcijańsku okres naszego narzeczeństwa. Obecnie wielu młodych nie zna pojęcia prawdziwej miłości. Niedawno moja wnuczka pytała mnie o nasz ślub. Opowiedziałam jej coś bardzo osobistego, ale co może komuś pomoże. Podczas naszej nocy poślubnej, którą spędziliśmy w XIX-wiecznym hotelu, kładąc się spać, znalazłam pod poduszką list. To był list od Cayetana.

Trwaliśmy wcześniej w narzeczeństwie przez 4 lata i prawie cały nasz kontakt sprowadzał się do listów, bo on mieszkał w Almería, a ja w Gijón. Pisaliśmy do siebie codziennie: co-dzien-nie. W

pierwszym liście, który napisał mi jako małżonek, chciał okazać swą jego miłość do mnie, opisać swoją radość z przyjęcia sakramentu małżeństwa i wyrazić jego pragnienie wierności aż do śmierci.

Jeszcze kilka lat temu nie opowiedziałabym tego. Teraz jednak mówię o tym, bo młodzi często sprowadzają wszystko do czystej biologii, a wówczas związek nie może przetrwać długo. My zdawaliśmy sobie na szczęście sprawę, że małżeństwo jest sakramentem i drogą do świętości.

Raz Cayetano opowiadał mi, że kiedy mieszkaliśmy w Bilbao, on był na delegacji w innym mieście i po pracy wszedł z grupą kolegów, audytorów, do baru na piwo. Tam spotkali jakieś dziewczyny i zaczęli rozmawiać. Dobre dziewczyny. Wszystko toczyło się normalnie. Kiedy poszli tam następnego dnia i spotkali te same

dziewczyny, mój mąż pożegnał się z kolegami. - Dlaczego idziesz? - spytali go. - Bo mam żonę, która czeka na mnie w Bilbao. Powtarzam, że nie chodziło o nic wielkiego, ale on wiedział, że w obliczu samotności trzeba być szczególnie roztropnym.

To drobnostka? Nie sędzę. To chrześcijańska konsekwencja. Skąd pochodziła? To jasne: z jego modlitwy, z wierności duchowi Opus Dei... którą zachowuje do dziś, bo jego choroba jest również Opus Dei, Dziełem Bożym.